Realizm narodowy generała Keitha Kellogga: doktryna America First w starciu z establishmentem

AUTOR

Fundacja Dobre Państwo

STRESZCZENIE / ABSTRACT

Artykuł analizuje koncepcję realizmu narodowego według generała Keitha Kellogga, definiując doktrynę America First jako prymat interesu narodowego nad technokratycznym zarządzaniem. Autor przeciwstawia ją liberalnemu internacjonalizmowi, który w ocenie Kellogga doprowadził do nadmiernego rozciągnięcia zasobów USA i erozji wewnętrznej siły państwa. Realizm narodowy nie jest utożsamiany z izolacjonizmem, lecz z pragmatycznym podejściem do sojuszy opartym na wzajemności i wiarygodnym odstraszaniu. Tekst ukazuje Trumpa jako postać rzucającą wyzwanie 'klasie tłum' i ekspertokracji, postulując powrót do polityki opartej na konkretnych korzyściach dla obywatela oraz suwerenności ekonomicznej i militarnej, zamiast podążania za globalnymi rytuałami dyplomatycznymi.

The article analyzes the concept of national realism according to General Keith Kellogg, defining the America First doctrine as the primacy of national interest over technocratic management. The author contrasts it with liberal internationalism, which in Kellogg's assessment led to the overextension of US resources and the erosion of the state's internal strength. National realism is not equated with isolationism, but with a pragmatic approach to alliances based on reciprocity and credible deterrence. The text portrays Trump as a figure challenging the 'managerial class' and expertocracy, advocating for a return to politics based on concrete benefits for the citizen and economic and military sovereignty, instead of following global diplomatic rituals.

Artykuł analizuje doktrynę 'America First' w ujęciu generała Keitha Kellogga, prezentując ją nie jako doraźne hasło polityczne, lecz jako fundamentalną korektę liberalnego internacjonalizmu. Główną tezą tekstu jest twierdzenie, że realizm narodowy

stanowi niezbędną odpowiedź na kryzys technokratycznego zarządzania państwem i biurokratyczny bezwład elit, które przedłożyły proceduralną poprawność oraz globalne abstrakcje nad konkretny interes obywateli. Autor argumentuje, że podejście Kellogga i Trumpa – oparte na prymacie woli politycznej nad ekspertokracją, wzajemności w sojuszach (szczególnie w ramach NATO) oraz odrzuceniu 'wojen bez końca' – jest próbą przywrócenia państwu podmiotowości. Tekst ukazuje konflikt między demokratycznym mandatem a autonomią aparatu państwowego ('deep state'), wskazując, że prawdziwa skuteczność polityczna wymaga syntezy impulsywnej decyzji z instytucjonalną sprawnością. W obliczu powrotu wielkiej geopolityki i erozji globalizmu, 'America First' jawi się jako wezwanie do budowy bezpieczeństwa opartego na wiarygodności siły i strategicznej spójności, zamiast na moralnej autoprezentacji.

SŁOWA KLUCZOWE

realizm narodowy | doktryna America First | liberalny internacjonalizm | ekspertokracja | geoekonomiczny realizm | aparat ciągłości | wzajemność w sojuszach | odstraszanie strategiczne | cancel culture w polityce pamięci | cnota decyzji | suwerenność ekonomiczna | zarządzanie ryzykiem geopolitycznym | instytucjonalizacja trumpizmu | asymetria kosztów bezpieczeństwa

America First jako prymat interesu narodowego nad technokracją

Doktryna, która nie prosi o zaproszenie na salon. "America First" w ujęciu generała Keitha Kellogga to nie jest zwykłe hasło wyborcze, które przypadkiem przetrwało kampanię, lecz skrócona formuła doktryny państwa. Zakłada ona, że polityka zagraniczna, gospodarcza, militarna i instytucjonalna powinna zaczynać się od pytania o interes wspólnoty politycznej, która dała rządzącym mandat. Nie od rozważań nad tym, co powiedzą redakcje w Nowym Jorku, czy eksperci w Brukseli, Davos i waszyngtońskich think tankach uznają język administracji za wystarczająco elegancki, ani czy przeciwnik poczuje się urażony. Najpierw: co z tego wynika dla obywatela, podatnika, żołnierza, pracownika, przedsiębiorcy, rodziny, granicy, przemysłu, bezpieczeństwa i siły państwa.

"America First" jest zatem herezją wobec późnoliberalnej kultury rządzenia, która przez dekady posługiwała się językiem globalnych przepływów, wielostronnych formatów, wspólnych oświadczeń, zarządzania ryzykiem, rozproszonej odpowiedzialności i moralnej autoprezentacji. Kellogg opisuje administrację Trumpa jako bunt przeciw temu językowi. Nie twierdzi, że dyplomacja instytucjonalna jest zawsze fałszywa – bywa przecież potrzebna. Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy język zastępuje wolę, a procedura zastępuje decyzję. Trump w tej opowieści jawi się nie tyle jako antysystemowy ekscentryk, co człowiek, który zadał pytanie niedopuszczalne w klubie dobrze wychowanych zarządców ładu: dlaczego Stany Zjednoczone mają finansować, ochraniać i legitymizować system, który coraz częściej działa przeciw ich własnym obywatelom?

To pytanie było brutalne, czasem uproszczone i często wypowiadane w formie, od której dyplomatycznym porcelanom pękały uszka. Politycznie okazało się jednak skuteczne, gdyż trafiało w realne doświadczenie społeczne: poczucie, że elity budowały porządek globalny, w którym zwykły obywatel miał płacić rachunek, a na koniec dziękować za elegancką prezentację w PowerPoincie. Kellogg, jako wojskowy i praktyk bezpieczeństwa, przyjmuje tę intuicję za zasadę strategiczną. Nie ma polityki bez hierarchii. Nie ma strategii bez priorytetu. Nie ma sojuszu bez wzajemności. Nie ma odstraszania bez wiarygodności. Nie ma demokracji bez kontroli nad aparatem państwa. Nie ma pamięci narodowej, jeśli każde pokolenie może w imię aktualnej mody moralnej unieważnić poprzednie. I nie ma republiki, jeśli jej eksperci stają się kapłaństwem, a wyborcy jedynie nieporęcznym rytuałem zatwierdzania decyzji już podjętych.

Tak zarysowany konflikt prowadzi nas do pojęcia liberalnego internacjonalizmu. Piękna teoria z drogim abonamentem. Aby zrozumieć ostrze sporu, trzeba zrekonstruować przeciwnika Kellogga. Liberalny internacjonalizm, dominujący w amerykańskiej polityce po zimnej wojnie, opierał się na przekonaniu, że Stany Zjednoczone jako hegemon powinny utrzymywać porządek oparty na sojuszach, instytucjach, handlu, demokracji liberalnej, prawach człowieka i zdolności interwencji.

Realizm narodowy jako korekta liberalnego internacjonalizmu

W swojej najlepszej wersji była to koncepcja ambitna i moralnie atrakcyjna. Zakładała, że amerykańska potęga może stabilizować świat, powstrzymywać agresję, chronić szlaki handlowe, wspierać demokratyzację i zapewniać przewidywalność globalnej gospodarki. Problem w tym, że po 2001 roku teoria ta zaczęła brzmieć jak eufemizm dla polityki nadmiernego rozciągnięcia. Afganistan, Irak, chaos po interwencji w Libii, syryjska katastrofa, wzrost potęgi Chin, powrót Rosji, erozja przemysłu w USA, napięcia migracyjne, wojny kulturowe i kryzys zaufania do

instytucji pokazały, że liberalny internacjonalizm ma koszt, którego jego beneficjenci nie chcieli uczciwie nazwać. Porządek światowy wygląda dobrze, dopóki fakturę wysyła się komuś innemu.

Realizm narodowy w ujęciu Kelloga wyrasta właśnie z tej korekty. Nie postuluje on zniszczenia wszystkich sojuszy; mówi raczej: sprawdźmy, czy są one nadal narzędziem realizacji interesów, czy stały się moralnym automatem do pobierania amerykańskiej krwi i pieniędzy. Nie nakazuje porzucenia świata, lecz przestanie mylenia wszechobecności z przywództwem. Nie twierdzi, że demokracja i prawa człowieka nie mają znaczenia, ale wskazuje: państwo, które nie potrafi obronić własnej granicy, przemysłu, klasy średniej i wiarygodności militarnej, traci prawo do wygłaszania kazań innym.

To jest zasadnicza różnica między izolacjonizmem a realizmem narodowym. Izolacjonizm chce zamknąć drzwi. Realizm narodowy chce wiedzieć, po co je otwiera, komu, za jaką cenę i jaki ma to sens. Podczas gdy izolacjonizm ucieka od świata, realizm narodowy wchodzi w niego bez złudzeń, że sam udział w konferencji jest już polityką. Kellogg, interpretując Trumpa, stawia tezę: Ameryka ma być obecna tam, gdzie wzmacnia to jej interes i odstrasza agresora, a nie tam, gdzie obecność jest rytuałem utrzymywania zatrudnienia w przemyśle raportów strategicznych.

Establishment jako klasa tłumaczy konieczności. W książce zostaje on opisany jako zbiór tradycyjnych polityków, biurokratów, mediów, ludzi z "deep state" i mandarynów polityki zagranicznej, którzy od początku traktowali Trumpa jak ciało obce w organizmie państwa. Próbowali obsadzać administrację ludźmi konwencjonalnymi, ograniczać kierunek polityczny prezydenta, opóźniać decyzje dotyczące Afganistanu, narzucać własną logikę Radzie Bezpieczeństwa Narodowego oraz wykorzystywać kwestie Rosji i Ukrainy do politycznego nękania administracji.

Obraz ten należy traktować nie jako prostą teorię spiskową, lecz jako opis realnego napięcia socjologicznego. Każde państwo posiada aparat ciągłości. Jest on konieczny – bez niego nowa administracja byłaby jak człowiek, który co cztery lata uczy się od nowa chodzić i oddychać. Problem zaczyna się jednak wtedy, gdy aparat ciągłości uznaje siebie za właściciela państwa, a demokratyczny mandat za przejściową niedogodność. Wówczas biurokracja przybiera formę arystokracji proceduralnej: nie rządzi formalnie, ale potrafi opóźniać, filtrować, interpretować, przeciekać do mediów, ostrzegać, moralizować i dyscyplinować.

Konflikt Kelloga z establishmentem to w istocie spór między dwoma źródłami legitymacji. Pierwsze mówi: mamy mandat wyborczy, więc wolno nam zmienić kierunek. Drugie odpowiada: mamy kompetencję, doświadczenie i pamięć instytucjonalną, więc wolno nam ograniczyć szkodliwość tego mandatu, jeśli uznamy go za niebezpieczny.

To napięcie nie jest specyficznie amerykańskie. Występuje w każdej rozwiniętej demokracji, zwłaszcza tam, gdzie administracja, sądy, media, uczelnie, banki centralne, organizacje międzynarodowe i korporacje tworzą gęsty ekosystem normatywnego zarządzania. W Polsce, Francji, Niemczech, Wielkiej Brytanii czy w Unii Europejskiej znamy ten sam mechanizm, choć funkcjonuje pod różnymi nazwami.

Spór o prymat decyzji politycznej nad ekspertokracją

"Eksperci wiedzą lepiej". "Rynki zareagują". "Instytucje nie pozwolą". "To niezgodne z europejskim duchem". "Nie można tak mówić". "Nie wypada pytać". "To skomplikowane". Ta ostatnia formuła jest szczególnie użyteczna, bo zamienia władzę w mgłę. Jeśli coś zostanie uznane za wystarczająco skomplikowane, zwykły obywatel ma po prostu milczeć i płacić. Kellogg i Trump tę mgłę rozdarli. Zapytali o wynik, koszt i lojalność. Zapytali o koniec wojny oraz sens sojuszy pozbawionych wzajemności. Zapytali wprost: dlaczego administracja traktuje prezydenta jak stażystę, którego trzeba wychować? I właśnie wtedy zaczęła się wojna.

Demokracja wyborców kontra demokracja ekspertów. Jeden z kluczowych wątków ukrytych w relacji Kellogga to spór o tzw. ekspertokrację. Nowoczesne państwo jest zbyt złożone, by funkcjonować bez wiedzy specjalistycznej – to oczywiste. Problem pojawia się jednak wtedy, gdy wiedza fachowa przeobraża się w roszczenie polityczne. Ekspert od bezpieczeństwa zaczyna dyktować, jaka polityka zagraniczna jest dopuszczalna. Specjalista od zdrowia publicznego decyduje, jak długo społeczeństwo ma trwać w stanie zawieszenia. Ekspert od klimatu wyznacza granice produkcji, konsumpcji i mobilności, a ten od dezinformacji – granice debaty. Z kolei ekspert od demokracji rozstrzyga, które decyzje wyborców są demokratyczne, a które to jedynie populizm.

Pandemia COVID-19 stała się dla Kellogga jaskrawym przykładem tego przesunięcia. W książce wybrzmiewa jego krytyka ekspertów medycznych i długotrwałych lockdownów oraz przekonanie, że przywództwo polityczne musi ważyć ryzyka zdrowotne, gospodarcze, społeczne i konstytucyjne. Nie jest to spór o znaczenie nauki – bo nauka ma ogromne znaczenie. To spór o to, czy nauka może mieć monopol na decyzję polityczną. Nie może, ponieważ taka decyzja musi uwzględniać wartości, koszty alternatywne, prawa jednostki i strukturę społeczną. Epidemiolog widzi krzywą zakażeń, ekonomista bankructwa, psycholog depresję, nauczyciel stracone lata edukacji, a rodzic dziecko przed ekranem.

Polityk ma obowiązek widzieć to wszystko jednocześnie. Podobny mechanizm zadziałał w polityce zagranicznej. Eksperci od bezpieczeństwa narodowego często opowiadali się za kontynuacją

dotychczasowych działań, gdyż jest to naturalny odruch systemu. Aparat nie lubi przyznawać, że przez lata prowadził operację bez jasnego celu; w takim układzie każda próba przerwania procesu zostaje nazwana lekkomyślnością. Kellogg dostrzegał w tym nie ostrożność, lecz interes instytucjonalny przebrany za rozwagę. Hasła typu "więcej wojska, więcej czasu, zaufajcie nam" to nie strategia. To modlitwa aparatu o przedłużenie własnego mandatu.

Demokracja potrzebuje ekspertów tak, jak armia potrzebuje map. Ale mapa nie jest dowódcą. Jeśli mapa wskazuje na trudny teren, dowódca nie może udawać, że jest on łatwy. Jednak w momencie, gdy mapa zaczyna wydawać rozkazy, dowódca abdykował. Sprzeciw Kellogga wobec ekspertokracji to właśnie odmowa tej abdykacji.

Tym samym przechodzimy do gospodarczej strony sprawy: doktryny America First i pytania o to, kto płaci za globalny porządek. Jako koncepcja ekonomiczna "America First" wyrasta z przekonania, że globalizacja nie była neutralnym procesem technicznym, lecz układem dystrybucji zysków i strat. Zyskały korporacje zdolne do arbitrażu kosztów pracy, kapitału, regulacji i podatków. Zyskały regiony świata włączone do łańcuchów produkcji oraz konsumenci korzystający z tanich dóbr.

Geoekonomiczny realizm i koniec ery darmowego bezpieczeństwa

Straty poniosły jednak społeczności przemysłowe, część klasy średniej, lokalne ekosystemy gospodarcze i poczucie suwerenności ekonomicznej. Przez lata elity wmawiały przegranym, że ich sytuacja jest przejściowa, a oni sami powinni się przekwalifikować, być mobilni, elastyczni, nowocześni i wdzięczni. To język ekonomiczny, który brzmi rozsądnie w raporcie, ale okrutnie w miasteczku po zamknięciu fabryki. Przekaz polityczny Trumpa był skuteczny, ponieważ uznał te straty za realne. Nie mówił ludziom, że są anachroniczni; mówił, że ktoś ich oszukał.

Można dyskutować, czy rozwiązania gospodarcze Trumpa były zawsze spójne, czy taryfy okazały się optymalne, czy protekcjonizm nie generuje kosztów dla konsumentów lub czy retoryka handlowa nie upraszczała globalnych zależności. Nie można jednak zignorować faktu, że politycznie dotknął rany, którą technokracja przez lata pudrowała statystyką wzrostu PKB. Kellogg, patrząc z perspektywy bezpieczeństwa, dostrzega w tej gospodarce wymiar strategiczny. Państwo, które traci przemysł, traci część zdolności obronnej. Państwo zależne od rywali w zakresie kluczowych łańcuchów dostaw staje się zakładnikiem własnej efektywności kosztowej. Pandemia pokazała to brutalnie: maseczki, środki ochronne, farmaceutyki, logistyka, transport i produkcja. Globalizacja

"just in time" w obliczu kryzysu zamienia się w "too late". Wtedy okazuje się, że taniej nie zawsze znaczy bezpieczniej.

"America First" ma więc wymiar geoekonomiczny. Nie chodzi tu wyłącznie o dumę narodową, lecz o zdolność państwa do działania w sytuacjach kryzysowych. Jeśli wszystko jest zlecane na zewnątrz, państwo staje się menedżerem zależności. Gdy własna baza przemysłowa zanika, suwerenność zmienia się w prezentację marketingową. Z kolei jeśli sojusznicy nie inwestują w obronę, sojusz staje się polisą opłacaną przez jednego klienta, z której wszyscy chcą korzystać. Kelloggowski realizm przypomina: bezpieczeństwo nie jest atmosferą. Ktoś je produkuje, finansuje, magazynuje, transportuje i chroni.

NATO, Europa i moralność cudzej karty kredytowej. W tym miejscu dochodzimy do jednego z najbardziej drażliwych aspektów polityki Trumpa: stosunku do sojuszników. Ostro krytykował on państwa NATO za niedostateczne wydatki na obronność. Dla jednych była to retoryka podważająca jedność Zachodu, dla innych – brutalna, lecz konieczna rozmowa z bogatymi partnerami, którzy przywykli do amerykańskiej gwarancji jak do prawa naturalnego. Kellogg, zgodnie ze swoją logiką, widzi tu problem wzajemności. Sojusz nie jest jałmużną, lecz kontraktem strategicznym. Europa przez dekady korzystała z amerykańskiego parasola bezpieczeństwa, rozwijając jednocześnie własny model państwa dobrobytu, regulacji, integracji i handlu. To nie jest zarzut sam w sobie – państwo dobrobytu może być cywilizacyjnym osiągnięciem. Problem zaczyna się wtedy, gdy część tego dobrobytu jest możliwa dzięki outsourcingowi twardego bezpieczeństwa do USA, a następnie Europa poucza Amerykę z moralnej wysokości kogoś, kto nie płaci pełnego rachunku za własną ochronę. To trochę tak, jakby pasażer pierwszej klasy wygłaszał kapitanowi wykład o ekologii, siedząc w samolocie, którego sam nie umie pilotować i za którego paliwo płaci ktoś inny.

Trumpowska presja na NATO była więc jednocześnie ryzykowna i potrzebna. Ryzykowna, bo sojusze opierają się także na zaufaniu i przewidywalności. Potrzebna, bo zaufanie bez wkładu staje się wygodną fikcją. Wojna Rosji przeciw Ukrainie po 2022 roku potwierdziła, że europejskie bezpieczeństwo nie jest problemem akademickim. Państwa Europy muszą inwestować w zdolności wojskowe, przemysł obronny, amunicję, mobilność wojskową, energetykę, cyberbezpieczeństwo i odporność społeczną. "America First" może być dla Europy brutalnym budzikiem. Nie trzeba lubić budzika, żeby przyznać, że przespanie alarmu jest gorsze.

Realizm wobec Rosji jako synteza siły i strategii

Rosja jako test złudzeń Zachodu. Wątek rosyjski ma dwie twarze. Pierwsza to obrona Trumpa przed oskarżeniami o zmowę, które Kellogg uważał za fałszywe i politycznie motywowane. Druga to

przekonanie, że relacje z Moskwą należy budować z pozycji siły i w oparciu o interesy, a nie przez sentymentalną rusofobię lub naiwny reset. Współczesność udowodniła, że Rosja jest mocarstwem rewizjonistycznym, traktującym wojnę, energię, dezinformację, korupcję, migrację, cyberataki i broń nuklearną jako instrumenty nacisku.

To państwo nie respektuje słabości, ale nie jest też irracjonalnym demonem z baśni – to reżim kalkulujący. Dlatego odstraszanie ma sens. Rozmowa z Rosją również ma sens, pod warunkiem że nie będzie rozmową petenta z szantażystą. Kelloggowski realizm wobec Rosji można streścić następująco: nie oddawaj Moskwie monopolu na eskalację, nie obiecuj rzeczy, których nie zamierzasz bronić, nie myl chęci rozmowy z ustępstwem, nie myl sankcji z pełną strategią, nie pozwól, by Europa udawała, że Ameryka sama rozwiąże problem rosyjski i nie twórz pokoju, który będzie tylko przerwą na przeładowanie magazynków. W tym ostatnim punkcie rozstrzyga się przyszłość Ukrainy.

Krytycy podejścia Trumpa obawiają się, że transakcyjny realizm może doprowadzić do porozumienia ponad głową Kijowa. To ryzyko jest zasadne. Zwolennicy Kellogga odpowiedzą jednak, że wojna pozbawiona realistycznej ścieżki zakończenia może stać się konfliktem na wyczerpanie, w którym Ukraina płaci najwyższą cenę, Europa ogranicza się do deklaracji, a USA finansują brak strategii. Oba lęki są prawdziwe. Mądra polityka musi uniknąć zarówno zdrady, jak i bezkresu.

Ukraina: suwerenność, broń i koniec wojny jako problem moralny. To miejsce, w którym pojęcia realizmu i moralności nie dają się rozdzielić chirurgicznie. Z perspektywy prawa międzynarodowego sprawa jest jasna: Rosja naruszyła suwerenność państwa ukraińskiego. Geopolitycznie kwestia jest bardziej złożona, gdyż wojna dotyczy architektury bezpieczeństwa Europy, pozycji NATO, przyszłości odstraszania nuklearnego, wiarygodności Zachodu i relacji USA z Chinami. Z perspektywy antropologicznej jest to walka o prawo wspólnoty politycznej do bycia sobą.

Kellogg, jako wysłannik i strateg, musi poruszać się między tymi poziomami. Jeśli będzie mówił wyłącznie językiem moralnym, nie rozwiąże problemu zasobów i eskalacji. Jeśli zaś ograniczy się do języka transakcyjnego, zlekceważy fakt, że dla Ukraińców „kompromis terytorialny” może oznaczać utratę domów, grobów, miast, pamięci i bezpieczeństwa przed kolejną agresją.

Prawdziwy realizm nie polega na wyrzuceniu moralności przez okno. Polega na tym, że moralność przestaje udawać, iż nie potrzebuje strategii. „Pokój przez siłę” musi zatem znaczyć coś więcej niż samo zakończenie walk. Musi oznaczać taki układ, w którym Rosja nie otrzyma zachęty do

następnego ataku, Ukraina zachowa zdolność obrony, Europa przejmie większy ciężar własnego bezpieczeństwa, a USA nie zostaną uwięzione w wojnie bez zdefiniowanego końca.

Obrona pamięci narodowej przed moralnym oczyszczaniem

To trudne zadanie, ale polityka nie polega na wyborze między dobrem a złem absolutnym. Służy ona raczej temu, by w niedoskonałym świecie ograniczać katastrofy bez nazywania kapitulacji mądrością. Kultura unieważniania staje się tu polityką pamięci pozbawioną miłosierdzia. Jednym z najciekawszych kulturowo fragmentów książki jest spór o cancel culture i historię. Kellogg wiąże niszczenie pomników, zmianę nazw baz wojskowych oraz moralne sądy nad przeszłością z szerszą wojną przeciwko tradycyjnej pamięci amerykańskiej. Jego słowa o „zabijaniu historii" brzmią jak maksyma: naród, który zabija historię, zabija cząstkę samego siebie.

Należy jednak doprecyzować: obrona pamięci nie musi oznaczać obrony każdego pomnika. Społeczeństwa mają prawo zmieniać publiczne honory; w przeciwnym razie przestrzeń symboliczna stałaby się jedynie muzeum decyzji dawnych elit. Kellogg ostrzega jednak przed innym zjawiskiem – zastąpieniem historii moralnym skanowaniem przeszłości w poszukiwaniu powodów do usunięcia. Taki proces nie uczy, lecz oczyszcza, a oczyszczanie daje większą satysfakcję emocjonalną niż rozumienie. W kulturze unieważniania działa mechanizm quasi religijny: pojawia się grzech, publiczne wyznanie, potępienie, wygnanie i ostateczne oczyszczenie wspólnoty. Problem w tym, że brakuje w nim przebaczenia, proporcji czy świadomości ludzkiej niedoskonałości. Przeszłość zostaje sprowadzona do katalogu win, a teraźniejszość do roli sędziego.

Jest to rozwiązanie wygodne, gdyż pozwala poczuć wyższość moralną nad ludźmi, którzy nie mogą się już bronić. To forma taniej transcendencji – wystarczy potępić zmarłych, by poczuć się moralnie żywym. Konserwatyzm pamięci w wydaniu Kellogga mówi: badajmy, oceniajmy i uczmy się, ale nie zamieniajmy historii w pole egzekucji symbolicznej. Naród potrzebuje nie tylko dumy, lecz także zdolności do zniesienia własnych sprzeczności. Ameryka była przecież republiką wolności i państwem niewolnictwa; źródłem konstytucyjnych ideałów i miejscem przemocy rasowej; siłą wyzwalającą i imperium interesów. Tych pęknięć nie da się rozwiązać młotem do pomników – można je jedynie rozumieć, przetwarzać i włączać w dojrzałą narrację wspólnoty.

W tym kontekście Kapitol staje się raną interpretacyjną. Wydarzenia z 6 stycznia pozostają otwartym konfliktem, ponieważ obie strony sporu widzą w nich potwierdzenie własnej tezy o przeciwniku. Dla antytrumpowskiego centrum był to dowód na to, że populizm prowadzi do

przemocy i delegitymizacji demokracji. Dla obozu Trumpa – sygnał, że establishment wykorzystuje ekscesy części tłumu do politycznego napiętnowania milionów wyborców. Kellogg opowiada się za drugą interpretacją. Nie neguje chaosu ani przemocy, ale odmawia uznania tych wydarzeń za insurekcję w rozumieniu przeciwników Trumpa.

W kategoriach nauk politycznych spór ten dotyczy relacji między retoryką a sprawczością. Czy przywódca odpowiada za emocjonalny klimat, który tworzy? Tak. Czy jednak odpowiada automatycznie za każdy czyn człowieka powołującego się na jego słowa? Nie. Czy demokracja ma prawo bronić procedur przed tłumem? Oczywiście. Czy może jednak użyć tej obrony jako instrumentu delegitymizacji całego ruchu społecznego? Może, ale wtedy wchodzi w logikę represyjnej moralizacji. I właśnie przed tym ostrzega Kellogg.

Nie trzeba przyjmować całej jego interpretacji, by zauważyć, że język używany po 6 stycznia stał się narzędziem głębokiego podziału. „Insurekcja", „zamach", „patrioci", „polowanie", „prowokacja", „tłum", „terroryzm", „protest" – każde z tych słów organizuje pamięć, wskazuje winnych i buduje prawo do kary lub obrony. W demokracji walka o słowa poprzedza walkę o instytucje, a czasem staje się nią w rzeczywistości.

By tekst nie stał się hymnem, należy przywołać krytyków koncepcji zbieżnych z podejściem Kellogga i Trumpa. Liberalni internacjonaliści ostrzegają, że doktryna „America First" może osłabiać sojusze, niszczyć przewidywalność polityczną i zachęcać przeciwników do testowania podzielonego Zachodu. Z kolei neokonserwatyści mogą zarzucać Trumpowi zbyt małą gotowość do demokratycznej transformacji świata oraz niechęć do długoterminowego zaangażowania.

Narodowy realizm jako korekta błędów systemu

Instytucjonaliści twierdzą, że normy, instytucje i wiarygodność stanowią kapitał, którego nie da się mierzyć wyłącznie w kategoriach transakcyjnych. Teoretycy demokracji ostrzegają, że personalizacja przywództwa, kult lojalności oraz ataki na media mogą prowadzić do erozji mechanizmów kontroli. Z kolei ekonomiści wolnorynkowi krytykują protekcjonistyczne elementy trumpizmu jako kosztowne dla konsumentów i niekoniecznie skuteczne w odbudowie przemysłu.

To argumenty poważne, lecz ich słabość tkwi w założeniu, że poprzedni porządek był stabilny, racjonalny i moralnie czysty. Nie był. Wojny bez końca, asymetria kosztów w ramach NATO, gospodarcza zależność od Chin, kryzys klasy średniej, ślepota na gniew społeczny, technokratyczna arogancja oraz moralna selektywność interwencji – to wszystko stworzyło grunt pod rządy Trumpa.

Trump nie spadł z nieba jak pomarańczowy meteor. Został wyhodowany w cieplarni błędów systemu, który potem był oburzony, że roślina ma kolce.

Realizm Kellogga należy więc krytykować, ale nie wolno go lekceważyć; to właśnie ta pycha stała się jednym z powodów klęski jego przeciwników. Można spierać się o styl Trumpa, jego retorykę, instytucjonalne koszty konfliktu czy ryzyka płynące z transakcyjności. Nie można jednak udawać, że pytania, które postawił, były nieistotne: Ile kosztuje globalne przywództwo? Kto faktycznie płaci za sojusze? Kiedy kończy się wojna? Czy ekspert ma prawo rządzić? Czy naród może bronić własnej pamięci? Czy państwo ma prawo wymagać lojalności od własnej administracji? I wreszcie: czy pokój bez siły jest pokojem, czy tylko pauzą?

Tu pojawia się solidaryzm państwowy – zapomniany rdzeń myśli Kellogga. Wbrew pozorom jego model nie jest czystym indywidualizmem ani prostą apologią siły; zawiera w sobie element wspólnotowej odpowiedzialności. Państwo ma obowiązek chronić obywateli przed kosztami, które elity przerzuciły na nich w imię wzniosłych abstrakcji. Żołnierz nie powinien być wysyłany na wojnę bez końca, podatnik nie może finansować sojuszników, którzy nie wnoszą własnego wkładu, a pracownik nie może być ofiarą globalnych łańcuchów wartości, gdzie zysk zostaje na górze, a ryzyko spoczywa na dole. Rodzina nie może być zakładnikiem ekspertokracji, która widzi jeden parametr, ignorując żywe życie, a wspólnota polityczna nie powinna być zawstydzana za chęć pielęgnowania własnej historii. To nie jest liberalny indywidualizm rynkowy, lecz narodowy realizm wspólnotowy. Jego główna teza brzmi: zanim państwo będzie zbawiać świat, musi być odpowiedzialne wobec własnych obywateli. Teza ta może być nadużywana i prowadzić do egoizmu czy izolacji, ale może być też konieczną korektą epoki, w której zbyt wielu przywódców mówiło o ludzkości, bo nie chcieli rozmawiać z własnym narodem.

W tym kontekście metafora „ognia i lodu" staje się aluzją do całej współczesnej epoki. Żyjemy w świecie łatwopalnym: wojny, migracje, deindustrializacja, automatyzacja, sztuczna inteligencja, pandemia pamięci, kryzys zaufania, rewizjonizm mocarstw, zmęczenie liberalizmem i radykalizacja języka. Taki świat potrzebuje ognia decyzji, ale nie może spłonąć w ogniu gniewu. Potrzebuje lodu instytucji, ale nie może zamarznąć w lodzie procedur. Trump i Pence, w interpretacji Kellogga, stanowili symboliczny układ tych żywiołów. Jeden rozbijał konwenans, drugi pilnował formy. Jeden mówił brutalnie, drugi stabilizował ciszą. Jeden był impetem, drugi zamieniał bezwładność w porządek. Pytanie o przyszłość brzmi: czy taki układ da się utrzymać, gdy temperatura polityczna rośnie? Czy ogień nie pożre lodu, a lód nie zdusi ognia?

Synteza woli politycznej i sprawności instytucjonalnej

Czy administracja może być jednocześnie antyestablishmentowa i sprawna instytucjonalnie? Czy można prowadzić politykę buntu, nie niszcząc przy tym aparatu niezbędnego do realizacji decyzji? To pytania kluczowe nie tylko dla Ameryki. Wszystkie zachodnie demokracje mierzą się z podobnym dylematem: jak odzyskać wolę polityczną, nie ulegając autorytarnej pokusie, i jak zachować instytucje, by nie stały się one twierdzą przeciwko własnym wyborcom.

Koniec wakacji od historii. Kellogg opisuje administrację Trumpa jako moment, w którym Ameryka przestała udawać, że historia się skończyła. Historia powróciła pod postacią wojny, pandemii, rywalizacji mocarstw, kryzysu granic, konfliktów pamięci, buntu wyborców i sporu o lojalność aparatu państwa. "America First" było odpowiedzią nieelegancką, często głośną i ryzykowną, ale zakorzenioną w trafnym rozpoznaniu: epoka komfortowego globalizmu się kończy. Państwa muszą znów potrafić liczyć, produkować, odstraszać, pamiętać, wybierać i mówić „nie". Najważniejsza lekcja Kellogga brzmi zatem: świat nie nagradza państw za dobre samopoczucie moralne. Nagradza te, które potrafią połączyć wolę, zasoby, strategię i pamięć. Wartości są konieczne, lecz bez mocy stają się jedynie życzeniem. Moc jest niezbędna, ale bez wartości zamienia się w bandytyzm. Instytucje są potrzebne, jednak bez mandatu stają się oligarchią procedur. Mandat jest kluczowy, lecz bez instytucji prowadzi do chaosu. Ogień jest konieczny. Lód także. A polityka, jak zwykle, zaczyna się tam, gdzie oba żywioły muszą nauczyć się współistnieć w jednym państwie. Od biografii żołnierza do antropologii władzy.

Wcześniej wyłonił się obraz administracji Trumpa jako próby przywrócenia państwu podmiotowości: zdolności wyboru, odstraszania, rozliczania sojuszy, oporu wobec biurokratycznej samowoli i odmowy uczestnictwa w globalnej liturgii bez końca. Teraz należy zejść głębiej, w stronę antropologii decyzji. Kellogg nie opisuje bowiem wyłącznie polityki zagranicznej; kreśli typ człowieka władzy, typ instytucji i typ kryzysu, w którym charakter staje się zmienną strategiczną. To właśnie dlatego kluczowe jest to, że Kellogg patrzy na administrację Trumpa oczami żołnierza. Żołnierz – zwłaszcza ten uformowany przez Wietnam, Panamę, Zatokę Perską i długą służbę w strukturach dowodzenia – postrzega władzę inaczej niż zawodowy komentator, parlamentarzysta gabinetowy czy ekspert od „ram narracyjnych". Dla niego decyzja nie jest tekstem do interpretacji, lecz aktem uruchamiającym ludzi, sprzęt, ryzyko, logistykę, śmierć, odpowiedzialność i następstwa. To całkowicie inna ontologia polityki. W sali seminaryjnej można twierdzić, że każdy problem jest wielowymiarowy. Na froncie wielowymiarowość nie zwalnia z konieczności decyzji – ona jedynie czyni ją droższą.

Lojalność jako warunek realizacji mandatu politycznego

Kellogg wnosi do Trumpizmu coś, czego sam Trump, jako polityczny żywioł, potrzebował: pamięć dyscypliny. Podczas gdy Trump dawał energię, skrót, przemoc języka, instynkt transakcji i zdolność łamania rytuałów, Kellogg dostarczał wojskowy realizm, znajomość aparatu bezpieczeństwa i świadomość, że decyzja bez wykonania pozostaje jedynie hałaśliwym pragnieniem. Dlatego jego rola w administracji wykraczała poza sumę zajmowanych stanowisk. Jak wynika z notatek, przez cztery lata był jednym z najbardziej lojalnych doradców Białego Domu; posiadał unikalny dostęp zarówno do prezydenta, jak i wiceprezydenta – od kampanii i zespołu przejściowego, przez Radę Bezpieczeństwa Narodowego, aż po funkcję doradcy wiceprezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. Ta pozycja czyniła go tłumaczem między temperamentem a państwem. Trump mówił: trzeba działać. Aparat pytał: jak, kiedy, przez kogo, z jakim mandatem, ryzykiem i skutkami ubocznymi.

Kellogg rozumiał oba języki, co czyni jego świadectwo szczególnie interesującym. To nie jest opowieść człowieka z zewnątrz, który po latach próbuje nadać sens chaosowi, lecz relacja uczestnika, który widział, jak polityczny chaos przetwarza się w decyzję, a decyzja w historię. Pojawia się tu kwestia lojalności rozumianej jako cnota polityczna, a nie dworska służalczość. Jeden z najczęściej krytykowanych elementów kultury władzy Trumpa to właśnie nacisk na lojalność. Krytycy widzą w tym skłonność do personalizacji państwa, nieufność wobec niezależnej ekspertyzy i ryzyko podporządkowania instytucji jednej osobie. To ostrzeżenie jest zasadne. Nowoczesne państwo musi odróżniać lojalność wobec konstytucji, urzędu i programu od lojalności wobec osoby. Gdy te poziomy się mieszają, demokracja zaczyna śmierdzieć kadzidłem dworu.

Kellogg odczytuje jednak lojalność inaczej. Dla niego nie jest ona kaprysem monarchy, lecz warunkiem wykonania mandatu politycznego. Prezydent wybrany przez obywateli ma prawo oczekiwać, że ludzie w jego administracji nie będą sabotować programu w imię własnej „wyższej mądrości”. Można odejść, protestować, doradzać prywatnie czy wskazywać ryzyka, ale nie można udawać wykonawcy, działając jednocześnie jak korektor demokracji. To jest dla Kellogga zdrada instytucjonalna w białych rękawiczkach.

Książka pokazuje, że spór o kadry pojawił się już przy obsadzaniu administracji. Tradycyjny republikański establishment dążył do wprowadzenia osób z nienagannymi życiorysami, lecz niezwiązanych z wizją Trumpa. Kellogg natomiast chciał zespołu popierającego kierunek prezydenta i wolnego od biurokratów powiązanych z poprzednimi rządami. Nie chodziło tylko o personalia, ale o fundamentalne pytanie: czy wybory rzeczywiście zmieniają politykę, czy jedynie dekorację na drzwiach gabinetów. Lojalność w tym ujęciu jest cnotą republikańską, pod warunkiem

że dotyczy demokratycznie zatwierdzonego programu, a nie prywatnego kultu jednostki. To subtelna, lecz zasadnicza różnica. Lojalny doradca ma mówić przywódcy prawdę, a nie mu schlebiać; ma pilnować celu, a nie nastroju; ostrzegać przed błędem, ale nie podmieniać kierunku.

Kellogg idealizuje ten model, być może zbyt mocno, ale dotyka realnego problemu: państwo, w którym każdy urząd czuje się uprawniony do filtrowania decyzji politycznych, staje się państwem bez odpowiedzialności. Gdy wszystko idzie dobrze, aparat przypisuje sobie profesjonalizm. Gdy idzie źle, twierdzi, że politycy nie słuchali ekspertów. Piękna gra. Kasyno zawsze wygrywa.

Rada Bezpieczeństwa Narodowego jawi się w tej opowieści nie jako neutralny sekretariat spraw strategicznych, lecz jako pole bitwy o duszę administracji i miejsce zderzenia dwóch wizji polityki. Z jednej strony stała wizja prezydenta: „America First", transakcyjność, koniec „wojen bez końca" i ścisła kontrola nad aparatem bezpieczeństwa. Z drugiej – wizja establishmentu, przekonanego, że prezydenta należy edukować, ograniczać i sprowadzać na tory konwencjonalnej polityki zagranicznej. Szczególnie mocno zarysowane są napięcia z H.R. McMasterem. Kellogg uważał za naiwne przekonanie McMastera, że Rada Bezpieczeństwa Narodowego może być w realiach Waszyngtonu „apolityczna". Według tej rekonstrukcji McMaster nie utożsamiał się z programem Trumpa i widział swoją rolę w kierowaniu prezydenta ku tradycyjnym rozwiązaniom. Podobnie nominacja Johna Boltona została oceniona jako ukłon w stronę establishmentu i mediów, mimo że poglądy Boltona odbiegały od strategii samego prezydenta.

Koniec iluzji apolityczności i pułapka kosztów utopionych

To prowadzi do głębszego pytania: czy bezpieczeństwo narodowe może być apolityczne? Odpowiedź brzmi: technicznie – częściowo tak, aksjologicznie – nigdy. Można w sposób apolityczny przygotować dane, mapy, warianty użycia siły, ocenę ryzyka, logistykę czy scenariusze. Jednak wybór celu, poziomu ryzyka, ceny, czasu trwania, akceptowalnych strat i komunikatu politycznego jest zawsze aktem politycznym. Ten, kto twierdzi, że jego rekomendacja ma charakter wyłącznie ekspercki, często ukrywa w niej własny system wartości. Ekspert, który nie ujawnia tych wartości, nie staje się neutralny – staje się mniej przejrzysty.

Kellogg buntuje się przeciwko pozornej apolityczności, widząc w niej metodę utrzymania status quo. Jeśli liberalny internacjonalizm zostanie przedstawiony jako "profesjonalny standard", a realizm narodowy jako "polityczna dewiacja", spór zostaje rozstrzygnięty, zanim na dobre się zacznie. Właśnie tak działa władza języka. Jedna strona dysponuje "instytucjami", druga

„populizmem”. Jedna ma „ekspertyzę”, druga „gniew”. Jedna powołuje się na „normy”, druga na „naruszenia”. Tymczasem Kellogg mówi: nie. To również jest polityka. Tylko ubrana w garnitur tak dobrze skrojony, że wygląda jak natura.

Afganistan i strategia Trzech T: więcej wojska, więcej czasu, zaufajcie nam. Afganistan pojawia się w tym eseju nie tyle jako oddzielny przypadek, co symbol patologii decyzji strategicznej. Z książki wynika, że najostrzejszy konflikt Trumpa z establishmentem obronnym dotyczył właśnie wycofania wojsk z tego kraju. Przedstawiciele tradycyjnego aparatu bezpieczeństwa uznawali taką perspektywę za niemal niewyobrażalną, a elity wojskowe stosowały taktykę, którą Kellogg określił mianem „Trzech T”: więcej wojska, więcej czasu, zaufajcie nam. Ta formuła jest jednym z najbardziej przenikliwych sloganów całej notatki, gdyż streszcza mechanizm samopodtrzymującej się polityki.

„Więcej wojska” oznacza, że dotychczasowe zasoby były niewystarczające. „Więcej czasu” sugeruje, że porażka nie jest dowodem błędnej strategii, lecz zbyt krótkiego horyzontu czasowego. „Zaufajcie nam” sprawia, że ocena efektów pozostaje w rękach tych, którzy rekomendują kontynuację działań. To zamknięty układ poznawczy. Błąd staje się argumentem za trwaniem błędu. W ekonomii publicznej nazwalibyśmy to problemem kosztów utopionych, asymetrią informacji i interesem biurokratycznym. W antropologii organizacji byłaby to kultura instytucji niezdolnej do uznania własnej nieskuteczności, gdyż taki krok zagroziłby tożsamości ludzi poświęcających lata na jej podtrzymywanie. Mówiąc prościej: jeśli przez dwadzieścia lat budowałeś most donikąd, trudno przyznać, że może należało przestać po trzecim filarze.

Sprzeciw Kellogga wobec takiej strategii nie wynika z pacyfizmu, lecz z dyscypliny celu. Żołnierz nie mówi: „nigdy nie walcz”. Żołnierz pyta: „powiedz mi, co znaczy zwycięstwo”. Jeśli zwycięstwo ma oznaczać trwałą demokratyzację Afganistanu, stabilne instytucje, nową kulturę polityczną, lojalną armię narodową i akceptację porządku przez lokalne struktury społeczne, należy zapytać, czy Stany Zjednoczone rzeczywiście dysponują instrumentami zdolnymi przynieść taki rezultat. Jeśli nie, misja przestaje być strategią, a staje się rytuałem podtrzymywania prestiżu. W tym miejscu Trumpowski realizm brzmi jak brutalne przebudzenie: nie każda wojna, którą potrafisz zacząć, jest wojną, którą potrafisz zakończyć. Nie każda interwencja wojskowa daje władzę nad strukturą społeczną. Nie każdy przeciwnik przegrywa dlatego, że traci bitwę. Czasem wystarczy, że przetrwa twoją cierpliwość.

Realizm narodowy przeciwko mesjanizmowi i abstrakcjom

Afganistan był właśnie takim przeciwnikiem: nie musiał pokonać Ameryki militarnie. Wystarczyło, że poczekał, aż ta zmęczy się własną niejasnością. Tu pojawia się Kellogg jako realistyczny antymesjanista. Jest nim w obszarze polityki zagranicznej nie dlatego, że odrzuca wartości, lecz raczej dlatego, że nie wierzy, iż można je implantować bagnetem, budżetem pomocowym i konferencją donorów. To odróżnia go od części tradycji neokonserwatywnej, która po 2001 roku łączyła amerykańską siłę z projektem transformacji politycznej Bliskiego Wschodu. Kellogg nie neguje, że demokracja liberalna jest lepsza od tyranii; neguje natomiast przekonanie, że obecność wojskowa automatycznie ją produkuje.

Taki realizm ma wymiar antropologiczny. Społeczeństwa nie są pustymi kartami – kształtują je plemiona, religie, języki honoru, pamięć krzywd, struktury patronatu, lokalni wodzowie, gospodarki nieformalne, korupcja, rytuały przemocy, zewnętrzni sponsorzy i własne strategie przetrwania. Liberalny internacjonalizm często traktował te struktury jak przeszkody przejściowe; Kellogg widzi w nich rzeczywistość. A rzeczywistość ma tę nieprzyjemną cechę, że nie znika wraz ze wzrostem liczby użytych akronimów. „America First" jest zatem epistemologiczną korektą zachodniego uniwersalizmu. Mówi: nie zakładaj, że świat chce być tobą. Nie zakładaj, że lokalne społeczności interpretują twoje gesty tak, jak robią to twoje think tanki. Nie wierz, że państwowość można zbudować z podręcznika zarządzania projektami, a przeciwnik mówiący językiem religii, honoru, rodu czy zemsty odpowie na bodźce jak uczestnik sympozjum w Aspen.

Zachód przez dekady zakładał zbyt wiele, by potem dziwić się, że rzeczywistość nie przeczytała briefingu. W tym kontekście slogany stają się bronią poznawczą. Powracają formuły i bon moty o wartości znacznie większej niż literacka ozdoba: „America First", „Fire and Ice", „More Troops, More Time, Trust Us", „Czasem trzeba po prostu odejść", „Nie będzie powtórki z Benghazi", „Zabijanie historii oznacza, że zabijamy cząstkę nas samych", „Nie możemy pozwolić, by sarin stał się akceptowalny" czy „Jeśli zabijecie Amerykanina, wasze przywództwo jest zagrożone".

Każde z tych zdań działa jak kondensator teorii politycznej. Slogan bywa pogardzany przez akademików za nadmierne uproszczenia, ale w polityce skuteczny slogan nie tylko upraszcza – on organizuje uwagę. W warunkach kryzysu ludzie nie kierują się traktatami, lecz skrótami poznawczymi, mapami moralnymi i zdaniami, które można zapamiętać pod presją. Bon mot jest amunicją pamięci. Dobrze użyty slogan nie zastępuje analizy, lecz przenosi ją na pole walki o percepcję. Kellogg jako wojskowy rozumie wartość takich formuł: rozkaz musi być zwięzły, cel

jasny, a komunikat odstraszający – zapamiętywalny. Gdy przeciwnik kalkuluje, nie czyta eseju o strukturze norm; pyta jedynie, czy drugi aktor ma wolę i jaką cenę może narzucić.

Dlatego „nie będzie powtórki z Benghazi" to nie tylko hasło, lecz sygnał operacyjny: ambasada nie zostanie porzucona, posiłki nadejdą, a atak nie zmieni się w konferencję prasową o współczuciu. W kulturze politycznej slogany bywają jednak niebezpieczne – mogą zwalniać z myślenia, zamieniać doktrynę w plemienny okrzyk lub ukrywać sprzeczności. Zadaniem inteligentnego obrońcy Kellogga nie jest więc ślepe powtarzanie haseł, lecz rozpakowanie ich treści. „America First" bez strategii staje się egoizmem, „Pokój przez siłę" bez dyplomacji militaryzmem, „Lojalność" bez prawdy dworem, „Walka z establishmentem" bez kompetencji chaosem, a „Obrona historii" bez krytycyzmu mitologią. Każda dobra maksyma wymaga strażnika, który nie pozwoli jej zgłupieć.

Polityka to sztuka zadawania kosztów. Jednym z najspójniejszych elementów wizji Kellogga jest przekonanie, że bezpieczeństwo polega na zarządzaniu kosztami przeciwnika. Nie wystarczy mieć rację, reprezentować wartości czy być stroną „porządku międzynarodowego" – trzeba sprawić, by naruszenie tego porządku było kosztowne. Jeśli cena jest niska, agresor potraktuje normę jedynie jako dekorację.

W Syrii kosztem były Tomahawki i zniszczenie zdolności lotniczych związanych z atakiem chemicznym. W Iranie uderzenie w Solejmaniego – człowieka symbolizującego operacyjną pewność reżimu. W Korei Północnej presja sankcyjna i wojskowa, połączona z ryzykiem prestiżowej porażki przy stole negocjacyjnym.

Wiarygodność siły i dynamika performansu jako narzędzia skuteczności

W przypadku ISIS kosztem było odebranie terytorium, zniszczenie mitu kalifatu i likwidacja przywódcy. Wobec establishmentu miało nim być zakwestionowanie monopolu interpretacyjnego. W stosunku do sojuszników kosztem była presja na zwiększenie wkładu, a wobec kultury unieważniania – publiczne odrzucenie moralnego szantażu. To jest polityka niezbyt salonowa, ale intelektualnie klarowna.

Świat składa się z aktorów reagujących na bodźce. Nie zawsze robią to racjonalnie, liniowo czy przewidywalnie, ale reagują. Jeśli agresja przynosi zysk – wraca. Jeśli bezkarność daje prestiż – rośnie. Gdy sojusznik otrzymuje ochronę bez żadnego wkładu, będzie racjonalnie minimalizował własne koszty. Jeśli biurokracja sabotuje mandat bez konsekwencji, zrobi to ponownie. Jeśli elity

kulturowe mogą unieważniać przeszłość bez oporu, będą poszerzać zakres oskarżeń. Świat według Kelloga to świat sprzężeń zwrotnych, a nie dobrych intencji.

Tu pojawia się pytanie etyczne: czy polityka oparta na zadawaniu kosztów nie prowadzi do brutalizacji? Odpowiedź brzmi: może, o ile zostanie oderwana od celu, proporcji i prawa. Jednak polityka, która nie potrafi egzekwować kosztów, prowadzi do czegoś równie niebezpiecznego – zachęca silniejszych i bardziej bezwzględnych. Moralność bez instrumentu bywa zaproszeniem dla niemoralnych. To paradoks, który pacyfistyczna wyobraźnia często odrzuca. Etyka odstraszania nie polega na umiłowaniu przemocy, lecz na jej ograniczaniu poprzez wiarygodność. Jeśli potencjalny agresor wierzy, że zapłaci cenę, może zrezygnować z ataku. Wtedy siła działa, choć nie zostaje użyta. To najwyższa forma skuteczności: wygrać starcie w kalkulacji przeciwnika, zanim padną pierwsze strzały.

Kellogg jest tu bardziej klasyczny, niż mogłoby się wydawać. Jego myślenie to nie kult wojny, lecz kult wiarygodności. Granica przebiega tam, gdzie odstraszanie traci związek z konkretnym zachowaniem przeciwnika i staje się ogólną demonstracją dominacji – wtedy może prowadzić do eskalacji, upokorzenia i spirali odwetu. Dlatego w sprawie Iranu kluczowy był moment zatrzymania po odwecie Teheranu.

Kellogg nie chciał odpowiadać dla samego odpowiadania. Odczytał sygnał, że Iran chce zachować twarz i zakończyć rundę. To dowodzi, że siła musi mieć ucho. Polityka, która tylko mówi, jest głucha; ta, która tylko słucha – niema. Skuteczna polityka łączy obie te funkcje.

Nie można zrozumieć administracji Trumpa bez pojęcia performansu. Trump nie tylko podejmował decyzje – on je inscenizował. Jego język, gesty, konflikty, przezwyska, nagłe zwroty i groźby były elementem technologii władzy. Dla krytyków to dowód niedojrzałości; dla Kellogga często element skuteczności. W epoce mediów społecznościowych polityka nie działa już wyłącznie przez dokumenty, lecz przez uwagę. Kto ją kontroluje, ten kształtuje pole możliwych reakcji. Trump jako „Fire" był mistrzem przyciągania uwagi, potrafiąc zmusić media, sojuszników i wrogów do ciągłego reagowania. Dawało mu to przewagę, ale niosło też koszt.

Ciągły pożar komunikacyjny może przesłaniać realne osiągnięcia, męczyć aparat państwa, radykalizować przeciwników i utrudniać rozróżnienie między taktyką a impulsem. Kelloggowska obrona Trumpa zakłada, że za widowiskiem często stała bardziej racjonalna kalkulacja, niż przyznawali krytycy. Może to być prawda w wielu kwestiach, ale nie usuwa pytania, czy polityka permanentnego spektaklu nie niszczy z czasem zdolności do dyscypliny.

Pence jako „Ice" pełnił w tej konstrukcji rolę stabilizującą. Opisywany jest jako człowiek spokojny i profesjonalny, który nie podnosi głosu, unika wulgaryzmów i zachowuje uwagi dla prywatnych

rozmów z prezydentem. Taka rola była niezbędna, gdyż każde przywództwo performatywne potrzebuje instytucjonalnego tłumacza. Bez niego energia polityczna zmienia się w krótkotrwały blask i długotrwałe popioły.

Pence był cichym filarem administracji. W oczach Kellogga stanowił „Ice" – idealnego wiceprezydenta, który rozumie swoją rolę, nie konkuruje z prezydentem, nie poucza go publicznie i zachowuje lojalność. To istotne, ponieważ choć wiceprezydentura w amerykańskim systemie bywa instytucjonalnym cieniem, w administracji Trumpa pełniła funkcję przeciwwagi temperamentalnej. Pence reprezentował styl konserwatyzmu klasycznego, religijnego i proceduralnego; Trump zaś – populistyczny i transakcyjny bunt.

Napięcie między mandatem a autonomią aparatu

Kellogg, mając dostęp do obu stron, widział ich komplementarność. Ogień potrzebował lodu nie po to, by zgasnąć, lecz by przyjąć formę. Lód potrzebował ognia nie po to, by się roztopić, lecz by państwo nie ugrzęzło w bezpiecznej bezczynności. W tej aluzji kryje się głębsza prawda o przywództwie: skuteczny zespół nie jest chórem podobnych głosów, ale układem napięć zdolnych do wspólnego celu. To lekcja aktualna również dla zarządzania biznesowego i instytucjonalnego.

Organizacje upadają nie tylko przez konflikt, ale także przez nadmierną jednorodność. Zespół samych „ogni" produkuje chaos, wypalenie i walkę o dominację. Zespół samych „lodów" generuje raporty, procedury i elegancki bezruch. Potrzebny jest konflikt ucywilizowany przez cel. Trump, Pence i Kellogg – w najlepszej interpretacji źródłowej – tworzą właśnie taki trójkąt: impuls, stabilizacja i translacja strategiczna.

Tym samym przechodzimy do pojęcia „deep state", które funkcjonuje zarówno jako termin polityczny, jak i mit mobilizacyjny. Jest to jeden z najbardziej obciążonych zwrotów we współczesnej polityce amerykańskiej. Dla zwolenników Trumpa oznacza nieformalny aparat urzędników, służb, prawników i ekspertów zdolnych do blokowania demokratycznie wybranego przywódcy. Dla krytyków pozostaje spiskową fantazją, która delegitymizuje profesjonalną służbę publiczną, przedstawiając każdą kontrolę jako sabotaż. Kellogg w książce używa tego pojęcia w kontekście nękania administracji, sprawy Rosji, śledztwa Muellera i konfliktu z Departamentem Sprawiedliwości.

Z perspektywy analitycznej „deep state" nie należy postrzegać jako prostego opisu tajnego centrum dowodzenia, lecz jako nazwę konkretnego doświadczenia politycznego: poczucia, że formalna zmiana władzy nie wystarcza, by zmienić kierunek państwa. W każdej złożonej demokracji istnieją

trwałe sieci interesów, norm, karier oraz instytucjonalnych lojalności. Nie muszą one spotykać się w piwnicy przy świecach, by działać zgodnie; wystarczy wspólna kultura, lęk przed zmianą i przekonanie, że nowy przywódca zagraża „prawdziwemu" państwu.

To czyni pojęcie „deep state" jednocześnie użytecznym i niebezpiecznym. Użytecznym, bo wskazuje na realny problem autonomii aparatu; niebezpiecznym, bo może zamienić każdą instytucjonalną kontrolę w dowód spisku. Demokracja potrzebuje administracji odpornej na kaprysy władzy, ale nie może dopuścić do administracji odpornej na wybory. Między tymi dwoma zdaniami rozciąga się cały dramat współczesnego państwa. Kellogg stoi wyraźnie po stronie obawy przed autonomią aparatu. Jego doświadczenia z administracji Trumpa przekonują go, że część establishmentu nie chciała realizować programu, lecz go neutralizować. Ta diagnoza zasługuje na uwagę, nawet jeśli nie przyjmuje się jej w całości – bowiem gdyby elity odpowiadały na nią wyłącznie kpiną, tylko potwierdziłyby swoim wyborcom, że nie chcą słyszeć o problemie.

W tym kontekście sprawy Rosji i Ukrainy jawią się jako narzędzia wojna proceduralna przeciw Trumpowi. Kellogg odrzucał zarzuty o zmowę z Rosją, traktował śledztwo Muellera jako kosztowną i paraliżującą farsę, a procedurę impeachmentu związaną z rozmową z Zełenskim jako próbę politycznego zniszczenia prezydenta.

Wola bycia sobą jako fundament zdolności państwa do działania

Należy przyjąć dwie prawdy jednocześnie. Po pierwsze, rosyjska ingerencja w proces wyborczy stanowiła realny problem dla bezpieczeństwa demokratycznego. Po drugie, polityczna i medialna narracja wokół tej sprawy często wykraczała poza to, co faktycznie udało się udowodnić w kwestii koordynacji kampanii Trumpa z Moskwą. Te dwie prawdy nie wykluczają się wzajemnie, choć w debacie publicznej traktowano je jak dwie wrogie religie.

Jedna strona chciała widzieć w Trumpie niemal agenta Putina; druga próbowała zredukować całą rosyjską aktywność do wymysłu przegranych Demokratów. Rzeczywistość, jak zwykle, odmówiła udziału w wiecu. Sprawa Ukrainy okazała się jeszcze bardziej toksyczna. Kellogg, jako uczestnik rozmowy Trumpa z Zełenskim, nie dostrzegł w niej niewłaściwego quid pro quo. Dla przeciwników Trumpa była ona przykładem nadużycia władzy dla celów politycznych; dla jego obozu – pretekstem do impeachmentu, uruchomionym zanim rzetelnie oceniono kontekst. Prawda polityczna nie jest tu jedynie kwestią stenogramu, lecz zaufania, którego między stronami już

zabrakło. Gdy zaufanie umiera, każdy gest przeciwnika staje się dowodem najgorszej możliwej intencji.

Kellogg dostrzega w tym mechanizmie broń establishmentu: procedury prawne, śledcze i medialne, które służą nie tylko kontroli władzy, ale jej systematycznemu wyczerpywaniu. Krytycy słusznie odpowiedzą, że kontrola władzy jest istotą demokracji. Jednak Kellogg ripostuje, iż kontrola zmienia się w sabotaż, gdy celem przestaje być ustalenie prawdy, a staje się nim utrzymanie permanentnego stanu oskarżenia. I ma w tym rację. Demokracja potrzebuje nadzoru, ale nie może trwać w stanie wiecznego procesu pokazowego.

Wojna kulturowa jest tutaj wojną o zdolność działania. Kultura unieważniania oraz spory o pomniki, media, język czy historię nie są jedynie dodatkiem do polityki zagranicznej – one bezpośrednio wpływają na sprawczość państwa. Państwo, które nie wie, kim jest, nie wie, czego broni. Społeczeństwo postrzegające własną historię wyłącznie jako katalog win traci moralną energię do poświęceń. Wspólnota, która nie odróżnia krytycznego rachunku sumienia od samobiczowania, staje się łatwym celem dla wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. Kelloggowska obrona historii jest zatem obroną strategicznej spójności.

To nie przypadek, że w jego notatce cancel culture pojawia się obok Syrii, Iranu, ISIS czy Korei Północnej. Choć na pierwszy rzut oka to różne kategorie, w rzeczywistości chodzi o to samo pytanie: czy Ameryka zachowa wolę bycia sobą? Jeśli państwo ma używać siły, musi wierzyć, że jego istnienie i porządek są warte obrony. Jeśli elity uczą obywateli, że ich kraj to przede wszystkim wina, przemoc, hipokryzja i opresja, nie powinny dziwić się, że ludzie tracą gotowość do płacenia rachunku za globalne zobowiązania. Nie jest to wezwanie do propagandowej ślepoty. Dojrzała pamięć narodowa musi znać winy. Ale znać winy to nie to samo, co zamieszkać w winie. Naród, który celebruje tylko chwałę, głupieje; naród, który celebruje tylko winę, choruje.

Decyzyjność przeciw biurokracji i granice modelu impulsywnego

Kellogg broni zdrowia pamięci, choć czyni to z pozycji wyraźnie konserwatywnych. Jego argument jest prosty: historii nie wolno zabijać, gdyż wraz z nią niszczy się zdolność wspólnoty do uczenia się, trwania i działania. Tu pojawia się biznesowa lekcja Kellogga: strategia bez decyzji jest kosztem stałym.

Dla czytelnika z doświadczeniem w zarządzaniu opowieść ta ma dodatkowy wymiar. Administracja Trumpa jawi się w niej jako organizacja próbująca przeprowadzić zwrot strategiczny w firmie

zdominowanej przez menedżerów średniego szczebla. Ci formalnie akceptują nowego prezesa, lecz w praktyce są przekonani, że ich obowiązkiem jest ocalić firmę przed jego strategią. Każdy, kto zarządzał dużą organizacją, zna ten mechanizm. Oficjalnie wszyscy deklarują: oczywiście, wdrożymy zmianę. Nieoficjalnie zaczyna się gra na czas, reinterpretacje, powoływanie komitetów i mnożenie ryzyk czy rekomendacji alternatywnych. Słyszymy: „musimy to jeszcze przeanalizować", „to wymaga konsultacji", „brakuje zasobów" lub „interesariusze mogą źle zareagować". Biurokracja mówi "tak, ale po naszej śmierci".

Z perspektywy Kellogga strategia bez decyzji generuje stałe koszty. Każdy miesiąc niejasności kosztuje pieniądze, morale i wiarygodność. W wojnie kosztuje życie, w państwie legitymację, a w biznesie rynek. Dlatego Trumpowska brutalność decyzyjna, choć bywała chaotyczna, miała jedną przewagę: rozrywała zasłonę komfortowego odkładania spraw na później. Zmuszała do pytań o to, co robimy, po co, kiedy kończymy, kto odpowiada i jaki jest wynik. To pytania nieprzyjemne, bo usuwają mgłę, w której organizacje lubią ukrywać własną przeciętność.

Kellogg występuje tu jako antykonsultant. Nie sprzedaje wizji pięknej transformacji; pyta raczej o to, gdzie jest przeciwnik, jaka jest misja, jak wygląda logistyka, kto dowodzi i kiedy uznamy zadanie za wykonane. W epoce nadprodukcji strategii takie pytania brzmią niemal obrazoburczo, a przecież stanowią fundament.

Należy jednak uczciwie przyznać, że model oparty na impulsie, lojalności i transakcyjności ma swoje ograniczenia. Po pierwsze, może prowadzić do nadmiernej personalizacji władzy – gdy wszystko zależy od instynktu lidera, instytucje stają się reaktywne zamiast strategicznych. Po drugie, może osłabiać zaufanie sojuszników, którzy potrzebują nie tylko siły USA, ale i przewidywalności jej użycia. Po trzecie, tworzy klimat permanentnej konfrontacji wewnętrznej, gdzie każdy spór staje się testem lojalności. Po czwarte, zachęca przeciwników do przeczekania administracji, jeśli polityka zostaje utożsamiona z jedną osobą, a nie trwałym konsensusem narodowym.

Obrona Trumpa w wydaniu Kellogga częściowo odpowiada na te zarzuty. Wskazuje, że za pozorną gwałtownością często stała konkretna strategia: ograniczone uderzenie w Syrii, silna eskalacja i zatrzymanie w Iranie, presja połączona z rozmową w Korei Północnej, precyzyjne wykonanie celu w walce z ISIS, nacisk na wkład w NATO czy mobilizacja logistyczna podczas pandemii. Jednak nawet przyjmując tę argumentację, pozostaje pytanie o instytucjonalizację. Czy trumpizm bez Trumpa potrafi działać? Czy „America First" może stać się dojrzałą doktryną państwową, a nie tylko energią jednego przywódcy? Czy ogień da się utrwalić bez pożaru?

Cnota decyzji jako fundament narodowego realizmu

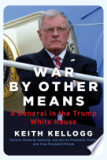
To kluczowe pytanie o przyszłość. Kellogg jako żołnierz wie, że doktryna musi przetrwać zmianę dowódcy; jeśli zależy wyłącznie od osobowości, pozostaje stylem, a nie strategią. Prawdziwym testem jego wizji jest zatem zdolność przekształcenia impulsu Trumpa w trwałe reguły: jasne kryteria użycia siły, realistyczną politykę sojuszy i przemysłową odbudowę bezpieczeństwa. Chodzi o kontrolę biurokracji bez niszczenia kompetencji, obronę pamięci bez propagandy, negocjacje z przeciwnikami bez naiwności oraz wsparcie sojuszników bez bezterminowej blankietowości.

Kellogg występuje tu jako świadek epoki przejściowej. Jego znaczenie nie wynika z nieomylności, lecz z faktu, że jego opowieść uchwyciła moment zwrotny. Po zimnej wojnie Zachód uwierzył, że jego model jest domyślnym ustawieniem świata. Po 11 września uznał, że może siłą przyspieszyć modernizację regionów opornych. Kryzys finansowy obnażył społeczne koszty globalizacji, a pandemia ukazała kruchość efektywnych łańcuchów dostaw. Wojna Rosji przeciw Ukrainie przypomniała, że geopolityka nie umarła, zaś konflikt kulturowy dowiódł, iż zachodnie społeczeństwa przestały być zgodne co do podstaw pamięci i tożsamości. Trump i Kellogg są produktami tego przełomu: jeden jako polityczny burzyciel, drugi jako wojskowy tłumacz przekładający ten proces na język aparatu państwa. Ich wspólna opowieść mówi jasno: koniec wakacji od historii. Nie można już żyć w świecie, w którym elity zarządzają procesami, obywatele mają się dostosować, a przeciwnicy zewnętrzni grzecznie czekają na wynik kolejnego panelu. Historia wróciła z rachunkiem. I jak to historia, nie przyjmuje płatności kartą wartości bez pokrycia.

Rozważania te prowadzą do pojęcia, które można nazwać cnotą decyzji. Nie jest nią impulsywność, brutalność czy pogarda dla procedur. Cnota decyzji to zdolność rozpoznania momentu, w którym dalsza analiza staje się ucieczką, procedura wymówką, ostrożność przyzwoleniem na bezkarność przeciwnika, a kompromis formą samookłamywania. Kellogg przypisuje tę cnotę Trumpowi, choć zaznacza, że wymagała ona lodu Pence'a i doświadczenia ludzi zdolnych wprowadzić decyzję w struktury państwa. W świecie zafascynowanym złożonością taka postawa budzi podejrzenia. Złożoność bywa bowiem prawdziwa, ale często służy za schron dla tchórzostwa. Kellogg nie neguje komplikacji świata – on odmawia im prawa weta. To może być najważniejsza lekcja z jego spojrzenia na administrację Trumpa: polityka nie polega na tym, by wszystko rozumieć przed działaniem, bo wtedy działanie nigdy nie nadejdzie. Polega ona na tym, by rozumieć wystarczająco dużo, działać w odpowiednim momencie, mierzyć skutki, korygować błędy i nie oddawać przeciwnikowi prawa do definiowania własnej odwagi.

> W świecie zafascynowanym nieskończoną złożonością, która często służy jedynie za schron dla tchórzostwa, cnota decyzji staje się najwyższą wartością strategiczną. Historia powróciła z rachunkiem, którego nie da się spłacić kartą wzniosłych wartości bez pokrycia w rzeczywistej mocy. Pytanie brzmi: czy współczesne demokracje potrafią odzyskać wolę działania, zanim lód procedur całkowicie zdusi ogień politycznej sprawczości?

Inspiracje

[1] 

"War by Other Means A General in the Trump White House" Keith Kellogg

2021 | Regnery Publishing | ISBN: 978-1684512379

Joseph **Keith Kellogg** Jr. (ur. 12 maja 1944 r.) jest emerytowanym generałem porucznikiem armii Stanów Zjednoczonych i dyplomatą. W ciągu 36 lat kariery wojskowej dowodził 82. Dywizją Powietrznodesantową i odbył dwie tury bojowe w Wietnamie. Po odbyciu służby wojskowej piastował stanowiska kierownicze w sektorach obronności i technologii. Kellogg zajmował wysokie stanowiska w pierwszej administracji Trumpa, w tym p.o. doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego, szefa sztabu i sekretarza wykonawczego Rady Bezpieczeństwa Narodowego oraz doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego wiceprezydenta Mike'a Pence'a. Później pełnił funkcję specjalnego wysłannika prezydenta ds. Ukrainy i Rosji. Współprzewodniczący Centrum Bezpieczeństwa Amerykańskiego w America First Policy Institute, Kellogg jest uznanym ekspertem w dziedzinie polityki bezpieczeństwa narodowego, technologii obronnych i międzynarodowych spraw strategicznych.

*Joseph **Keith Kellogg** Jr. (born May 12, 1944) is a retired United States Army lieutenant general and diplomat. Over a 36-year military career, he commanded the 82nd Airborne Division and served two combat tours in Vietnam. Following his military service, he held executive roles in the defense and technology sectors. Kellogg served in senior positions during the first Trump administration, including Acting National Security Advisor, Chief of Staff and Executive Secretary of the National Security Council, and National Security Advisor to Vice President Mike Pence. He later served as Special Presidential Envoy for Ukraine and Russia. A co-chair of the Center for American Security at the America First Policy Institute, Kellogg is a recognized expert in national security policy, defense technology, and international strategic affairs.*

America First Policy Institute

Literatura uzupełniająca

Książki

Książki autora i dzieła przywołane w tekście:



[1] **"Fire on the River"**

Keith Kellogg

2002 | ISBN: 9780759689992

[2] **"On Light Infantry"**

Keith Kellogg, Army War College (U.S.)

1987

Książki autorów przywoływanych i literatura pokrewna:

[3] **"Trump on China: Putting America First"**

Donald Trump

[4] **"Battlegrounds: The Fight to Defend the Free World"**

H.R. Mcmaster

[5] **"Dereliction of Duty"**

H.R. Mcmaster

[6] **"How Barack Obama Is Endangering Our National Sovereignty"**

John Bolton

[7] **"Surrender Is Not an Option: Defending America at the United Nations"**

John Bolton

Treść tworzy Fundacja Dobre Państwo.
Redaguje i publikuje APA ONE, autorski system redakcyjny Fundacji oparty na AI.
APA ONE Publishing System
Fundacja Dobre Państwo © 2026
Article ID: 335192c4-632d-4223-9d56-131caa64d4e8